

ANDREAS STEINHÖFEL

RICO, OSKAR I GŁĘBOCIENIE

PRZEŁOŻYŁA ELŻBIETA JELEŃ



ZILUSTROWAŁ PETER SCHÖSSOW

WYDAWNICTWO WAM

dla Gianniego
– z wzajemnością
A.S.

Tytuł oryginału:

Rico, Oscar und die Tieferschatten

Copyright text and illustrations © by CARLSEN Verlag GmbH, Hamburg 2008

First published in Germany under the title

RICO, OSKAR UND DIE TIEFERSCHATTEN

All rights reserved

Ilustracje: Peter Schössow

© Wydawnictwo WAM, 2011

Redakcja: Ewa Zamorska-Przyłuska

Współpraca: Zofia Palowska, Elżbieta Mazur

Projekt okładki wg oryginału: Krzysztof Błazejczyk

Skład wg oryginału: EDYCJA

Książka ukazała się dzięki wsparciu
Programu Promocji Przekładów Goethe-Institut

ISBN 978-83-7505-860-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia Dimograf – Bielsko-Biała

Marrak	Runge- -Blawecy
Zachodniewski	Fitzke
Dahling	Kiesling
Sześćoosobowa rodzina	Doretti (mama i ja)
Kesslerów	Julia, Bert i Massoud
(Przejście na podwórko)	Mommsen

(...)

Z zakupami w sklepie osiedlowym świetnie sobie poradziłem. Pasta do zębów, masło, słone paluszki, sałata i jogurt. Podałem pieniądze kasjerce, która wydając resztę, kazała pozdrowić mamę. Ale mówiąc to, wyglądała, jakby jej życzyła śmierci w straszliwych męczarniach. No tak, kiedy przeprowadziliśmy się na ulicę Majową, to mama poszła do niej i wyjaśniła uprzejmie, że nie potrafię liczyć i że mama takiemu jednemu, co chciał mnie okpić, połamała obie ręce.

Wyszedłem ze sklepu. Lekki wiatr poruszał drzewami. Zapomniałem, jak się nazywają, a może nigdy tego nie wiedziałem, w każdym razie wyglądały pięknie. Kora na pniach łuszczyła się jak lakier na starych drzwiach, pod nią widać było nową korę, która też się łuszczyła, a pod nią kolejną. Człowiek zadaje sobie pytanie, jak głęboko do środka takie drzewo może się łuszczyć.

Promienie słońca połyskiwały między milionami liści, rzucając zwiewne cienie na ulicę, gdzie było mnóstwo ludzi. Wiele osób siedziało w ogródkach przed barami i restauracjami, a z otwartych okien wypadła na chodnik muzyka. W tej chwili byłem szczęśliwy. Czułem się bezpiecznie. Na długiej ulicy Majowej jest wszystko, czego potrzeba. Sklep osiedlowy i nocny, dwie budki z warzywami, sklep z napojami, piekarnia, sklep mięsny i tak dalej. Nigdzie nie trzeba skręcać. I właśnie dlatego, że nie umiem zapamiętać skomplikowanej drogi, nie mówiąc o zakrętach, bo mój zmysł orientacji przypomina pijanego gołębia pocztowego podczas burzy śnieżnej, mama wyszukała dla mnie taką długą i prostą ulicę. Z Majowej jest

też blisko do mojej szkoły specjalnej. Wystarczy wyjść z domu, pójść kawaleczek w stronę apteki na rogu, a potem skręcić w górę w kierunku kanału rzecznego. Stamtąd już w prostej linii przez most do szkoły. Za szkołą droga dalej biegnie prosto, aż do domu kultury, ale na razie odważyłem się dojść tylko do restauracji ze stekami znajdującej się w jego pobliżu.

Zastanawiałem się, czy wracając do domu, nie poszukać kolejnego makaronu. Bo przecież mogło się zdarzyć, że tamten wcale nie wypadł z okna przy ulicy Majowej 93, tylko jakiś przechodzień zgubił go albo specjalnie tam porzucił.

PRZECHODZIEN: pieszy. Zapytałem mamę, co to znaczy. Tłumaczenie nieznanymi słowami na zrozumienie jest dość trudne. Ale odwrotnie jest jeszcze trudniej.

Szedłem, powłócząc nogami i myśląc o Jasiu i Małgosi, którzy nie chcąc się zgubić w ciemnym lesie, znaczyli drogę okruszkami chleba. A może ktoś specjalnie zostawił ten makaron, żeby się nie zgubić. Jeśli to zrobił, to był jeszcze bardziej utalentowany niż ja. Bo przecież wystarczy, że w okolicy pojawi się ktoś taki jak wszytkožerny Fitzke, a wówczas ten, kto zostawił makaronowe ślady, nie będzie miał najmniejszych szans na odnalezienie drogi. Ślady z chleba, które Jaś i Małgosia zostawili w lesie, też zostały zjedzone

przez ptaki i gdzie oni skończyli? No właśnie, u wielkiego, złego wilka!

Zatrzymałem się na placu zabaw. Plac zabaw jest jak półwysep otoczony ulicą Braci Grimm, która zakręca obok kanału rzecznego, tworząc pętelkę i wraca do ulicy Majowej, przez co, można powiedzieć, jest podwójna. Plac zabaw jest duży, a przy ładnej pogodzie wypełniony mamami z gromadą brzdąców. Tam, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, mama często chodziła ze mną na plac zabaw. Miałem wtedy łopatkę, sitko i dużo małych foremek. Pewnego razu wykopałem łopatką spory dołek i wrzuciłem tam sitko, foremki, a na końcu samą łopatkę, po czym wszystko zasypałem rękami. Nigdy nie udało mi się odnaleźć tych zabawek.

Patrzyłem przez chwilę na plac zabaw, ciesząc się, że tak wiele maluchów jest mądrzejszych niż ja, a potem znów przypomniałem sobie o znalezionym makaronie. Powoli ruszyłem dalej, wpatrując się w szare płyty chodnika. Zobaczyłem zgniecione opakowanie po klockach Duplo, okruszki szkła przed wielkim kontenerem na szkło i stary niedopałek. A potem dwie małe nogi w jasnych skarpetkach i sandałach.

Podniosłem głowę. Chłopiec, który stał przede mną, ledwie sięgał mi do piersi. To znaczy jego ciemnoniebieski hełm motocyklowy sięgał mi do piersi. Taki kask, jaki noszą motocykliści. Nie miałem pojęcia, że dla dzieci też można kupić coś takiego. Głupio to wyglądało. Plastikowe coś przed oczami było podniesione do góry.

WIZJER: coś do patrzenia w kasku. Zapytałem o to Berta, który jeździ na motorze. Bert powiedział mi jeszcze, że Julia pojechała razem z Mas-soudem na urlop. No nie...

– Co tu robisz? – zapytał chłopiec. Miał olbrzymie zęby. Mógłby nimi wrywać całe kawały mięsa z ciał wielkich zwierząt, dajmy na to konia albo żyrafy, albo czegoś innego.

– Szukam czegoś.

– Jak mi powiesz czego, to ci pomogę.

– Makaronu.

Rozejrzał się po chodniku. Kiedy schylił głowę, w jego kasku odbiło się słońce. Zauważyłem, że do koszulki z krótkimi rękawami miał przypięty niczym broszkę malutki czerwony samolot ze złamanym skrzydłem. Potem przeszukał krzaki, które rosły przy ogrodzeniu placu zabaw. Na ten pomysł nie wpadłem.

– Co to za makaron? – zapytał.

– To był znaleziony makaron. Chyba rigatoni, ale tylko chyba. Dokładnie będzie to można stwierdzić, dopiero jak się go znajdzie, bo inaczej to by nie był znaleziony makaron. Logiczne chyba, no nie?

– Hm... – przekrzywił głowę. Znów otworzyły się usta z wielkimi zębiskami.

– A może ty jesteś trochę nierozgarnięty?

No coś takiego!

– Jestem głęboko utalentowanym dzieckiem.

– Naprawdę? – Spojrzał z zainteresowaniem. – A ja jestem wysoce uzdolniony.

To mnie zaintrygowało. Bo mimo że chłopiec był dużo niższy ode mnie, nagle wydał mi się o wiele większy. To było dziwne uczucie. Długo przyglądaliśmy się sobie, nawet zacząłem już myśleć, że będziemy tak stać do zachodu słońca. Jeszcze nigdy nie widziałem wysoce uzdolnionego dziecka, no może jeden raz, w telewizji, w programie *Dzieciaki górą!* Była tam dziewczynka, która jak szalona grała coś bardzo trudnego na skrzypcach. W tym czasie prowadzący wykrzykiwał strasznie skomplikowane liczby, a ona miała powiedzieć, czy to jest liczba pierwsza, czy nie. Pani Dahling polknęła wtedy bez gryzienia całą kromeczkę z lososiem i stwierdziła, że ta mała daleko zajdzie. Dlatego pomyślałem, że liczby pierwsze są czymś bardzo ważnym. Ale wcale tak nie jest.

LICZBA PIERWSZA: taka liczba, która daje się podzielić tylko przez jeden i przez siebie, jeśli dalej się chce mieć całą liczbę, a nie tylko jakiś jej utamek, np. rękę. Jakbym to ja prowadził ten program, tobym zapytał dziewczynkę, dlaczego nie woli grać na flecie prostym albo na trąbce. Na tych instrumentach w najgorszym wypadku wystarczy tylko dmuchać powietrze.

– Muszę już iść – powiedziałem w końcu do chłopca. – Zanim się ściemni. Bo inaczej się zgubię.

– Gdzie mieszkasz?

– Tam prosto, w tym żółtym domu, po prawej. Majowa 93. – I od razu się zdenerwowałem, że powiedziałem po prawej. Po pierwsze wcale nie wiedziałem, czy dom naprawdę był po prawej stronie, bo może jednak był po lewej. A poza tym naprzeciwko mojego domu rozciągał się niczym śpiący kot stary szpital miejski, po którym od razu było widać, że nie jest domem mieszkalnym. Chłopiec spojrzał w kierunku, w którym wyciągnąłem rękę. Kiedy zobaczył numer 93, szeroko otworzył oczy, jakby nagle coś go olśniło, a potem zmarszczył czoło, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

W końcu się uspokoił i wyszczerzył zęby.

– Ty naprawdę jesteś głupi, no nie? Bo przecież jeśli się coś widzi i trzeba iść do tego prosto, to trudno się wtedy zgubić.

No przynajmniej zgadzała się prawa strona. Mimo to się wkurzyłem.

– Czyżby? A *ja* potrafię się zgubić. Gdybyś rzeczywiście był taki mądry, jak mówisz, to byś wiedział, że są ludzie, którzy potrafią się zgubić.

– Ja...

– I jeszcze coś ci powiem. To wcale nie było śmieszne! – Wszystkie kule bingo zrobiły się czerwone i zaczęły się objąć o siebie. – Wcale nie chcę, żeby mi ciągle coś uciekało z głowy! Nie jestem głupi z wyboru ani dlatego, że się czegoś nie nauczyłem!

– Wiesz, ja...

– A ty pewnie jesteś jednym z tych mózgowców, którzy wszystko wiedzą i ciągle muszą się chwalić, żeby zwrócić na siebie uwagę, nie tylko wtedy, kiedy grają w telewizji na skrzypcach!

To strasznie kłopotliwe, ale jeśli się czymś bardzo zdenerwuję, na przykład niesprawiedliwością, to zaczynam beczeć. I nic nie mogę na to poradzić. Chłopiec spoglądał spod kasku przerażonym wzrokiem.

– Tylko nie płacz! Wcale nie chciałem...

– A poza tym wiem, co to są liczby pierwsze! – wrzasnąłem. Zresztą była to jedyna rzecz, o której nie zapomniałem z tego straszego zdenerwowania. Na to chłopiec zamilkł. Spoglądał tylko w dół na swoje sandały. Potem popatrzył znów w górę, a jego wargi zacisnęły się w cienką kreskę. Wyciągnął przed siebie rękę. Była tak mała, że w mojej zmieściłyby się dwie.

– Mam na imię Oskar – powiedział. – I chciałem cię szczerze przeprosić. Nie powinienem był się z ciebie naśmiewać. To było aroganckie.

Nie miałem pojęcia, co znaczy to ostatnie słowo, ale zrozumiałem przeprosiny.

AROGANCKI: ktoś, kto patrzy na drugiego z góry. Ale Oskar nie może być aż tak sprytny, w końcu jest dużo niższy ode mnie i przez cały czas musi na mnie patrzeć z dołu.

Jeśli ktoś cię przeprosza, to trzeba być miłym. Natomiast jeśli tylko udaje, wtedy dalej można być obrażonym. Ale Oskar mówił szczerze. W końcu sam to przyznał.

– Mam na imię Rico – powiedziałem i uściśniłem jego rękę. – Bo mój tato był Włochem.

– Nie żyje?

– No pewnie, bo inaczej to bym nie powiedział, że był.

Wehmeyer stwierdził, że moją silną stroną w wypracowaniach są czasy gramatyczne, czyli przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, oraz zdania zaczynające się od gdyby.

– Bardzo mi przykro. Jak umarł?

Nie odpowiedziałem. Jeszcze nikomu do tej pory nie opowiadałem o tym, jak umarł mój tato. Bo co to kogo obchodzi. To bardzo smutna historia. Pociągnąłem nosem, spojrzałem ponad płotem w kierunku placu zabaw i spróbowałem myśleć o czymś innym. Na przykład czy tam też są zakopane łopatki, foremki, sitka i tym podobne, a jeśli tak, to ile i w jakich kolorach. Pewnie były ich setki. Gdybym je wszystkie wykopał, to mama mogłaby je wystawić na Allegro razem ze swoimi torebkami.

Kiedy Oskar zauważył, że nic więcej nie powiem, pokręcił się chwilę i oświadczył:

– Muszę wracać do domu.

– Ja też, bo inaczej masło się roztopi.

Uniosłem w górę siatkę z zakupami. A potem, ponieważ w tym swoim śmiesznym ubraniu wyglądał bardzo porządnie, jak dzieci, które jedzą wyłącznie warzywa, owoce i niesłodzo-

ne płatki śniadaniowe ze sklepu ze zdrową żywnością, powiedziałem:

– U nas skończyło się masło, bo dziś na obiad mieliśmy paluszki rybne z krwawym kleksem.

Odszedłem z zamiarem, że się nie odwrócę ani razu. Niech sobie nie myśli, że uważam go za fajnego kumpla z tym kaskiem i monstrualnymi zębami. Ale w końcu się odwróciłem i zobaczyłem, jak szedł ulicą Majową w przeciwną stronę. Z daleka wyglądał jak bardzo małe dziecko z olbrzymią niebieską głową.

Dopiero gdy wróciłem do domu i włożyłem masło do lodówki, a potem zacząłem nożem skrobać zamrażalnik, przyszło mi do głowy, że nie zapytałem Oskara, co robił zupełnie sam w tej części miasta. Albo co znaczył ten mały, jaskrawoczerwony samolot przypięty do koszuli i dlaczego nosił kask motorowy, chociaż szedł pieszo.



Pani Dahling zamiast wałków miała na głowie bardzo ładne loki, kiedy otworzyła mi drzwi, a ja wręczyłem jej paczkę słonych paluszków. Przedpokój oświetlało purpurowozłote wieczorne światło wpadające przez otwarte drzwi pokoju. Na ścianach wszędzie wisiały małe obrazki w plastikowych ramkach przedstawiające dzieci o wielkich oczach na tle wieży Eiffla albo mostu nad kanałem w Wenecji. Były tam też

rysunki przedstawiające klaunów i im podobnych, z których połowa ronila łzy. Dość kiczowate.

– Nie jestem w najlepszym nastroju, kochanie – powiedziała pani Dahling, zamykając za mną drzwi. – Tak mi jakoś ciężko na sercu.

Omam nie krzyknąłem z radości. Ciężar na sercu oznaczał, że nie będziemy oglądać żadnych filmów miłosnych. Nie mam nic przeciwko filmom miłosnym, ale czasem się przy nich denerwuję. Nie znam ani jednego filmu o miłości ludzi głęboko utalentowanych, jakby się nie można było w nich zakochać. No dobrze, jest *Forrest Gump*, ale ten film nie ma szczęśliwego zakończenia. A poza tym nie bardzo lubię Forresta Gumpa, bo jest dość natrętny i żarłoczny.

Pani Dahling położyła mi rękę na ramieniu i poprowadziła w kierunku pokoju gościnnego. Aż tak głupi nie jestem, że bym się miał zgubić w jej małym mieszkaniu, ale nie powiedziałem ani słowa. Ciężar na sercu zawsze ją wykańcza i trzeba to uszanować.

– I co, udało ci się ustalić, do kogo należał makaron? Do Fitzkego?

– Niecee.

Nie powiedziałem jej, że ten kretyn najspokojniej w świecie połknął mój makaron. Usadawiłem się na sofie i niepostrzeżenie zerknąłem na stół. Stał na nim nieduży talerz z kromeczkami z pasztetem, korniszonkami i połówkami pomidorów. Zaburczało mi w brzuchu. Pani Dahling robi najlepsze w świecie kanapeczki.

– Skoro to nie był Fitzke – zastanawiała się na głos – to pewnie któreś z bachorów Kessler-Görenów.

– Nie. Kesslerowie pojechali na urlop. Wczoraj. Tak samo jak Runge-Blawecy.

Kesslerowie byli w telewizji, w gazetach i w ogóle. Są sensacją, ponieważ pani Kessler dwa razy urodziła bliźniaki, i to w jednym roku: dwóch chłopców w styczniu i dwie dziewczynki w grudniu. Pomiędzy jednymi i drugimi podwójnymi urodzinami jest jeszcze czas na święta i sylwestra. Kosztowna rzecz, zwykł powtarzać pan Kessler z dumnym uśmiechem. Podwójne bliźniaki, niech ktoś spróbuje to powtórzyć. Bliźniaki mają teraz sześć i siedem lat. Pani Dahling nie cierpi ich jak zarazy i nazywa rozdartymi bachorami.

Pani Dahling postawiła na stole obok kromeczek szklanekę ze słonymi paluszkami i włączyła telewizor. Zawsze zanim się zaczną filmy, oglądamy wiadomości: najpierw lokalna kronika, a potem wydarzenia. Pani Dahling zakochała się w jednym prezenterze kroniki, który ma oczy jak Miś Puchatek i nazywa się Ulf Brauscher, a pani Dahling uważa, że jest uroczy. Kiedy ostatni raz musiała się napić kropelki pocieszenia u mamy, to powiedziała, że jest piekielnie seksowny.

Dziś Ulf Brauscher bardzo poważnie spoglądał swoimi pięknymi brązowymi oczami, ponieważ mowa była oczywiście o Misterze 2000 i uwolnionym dziecku z Lichtenbergu. A ponieważ rodzice nie chcieli udzielić żadnego wywiadu, to w telewizji pokazywali zdjęcia dzieci, które każdy berlińczyk dobrze już zna z gazet i telewizora: dwóch chłopców i dwóch

dziewczynek. Żadne nie miało jeszcze siedmiu lat i wszystkie, oprócz małej Zosi z Tempelhofu, uśmiechały się. Dzieci zwykle wyglądają słodko na zdjęciach, nawet jak są brzydkie, ale mała Zosia była wyjątkiem. Słynne zdjęcie dziewczynki jest trochę nieostre, ale mimo to widać blisko siebie osadzone oczy na zupełnie płaskiej i okrągłej jak księżyc twarzy oraz wąskie usta równie bezbarwne jak cienkie brwi. Jasne włosy opadają jej kosmykami na ramiona. Dziewczynka ma na sobie pomiętą, ciemnoróżową koszulkę z wielką, czerwoną plamą, jak po soku z truskawek. Zwykle ktoś, kto tak wygląda, jest wyśmiewany i wykpiwany na szkolnym podwórku. Zosia była drugą ofiarą Mistera 2000 i jest mi jej najbardziej żal, bo wiem, jak to jest być poniżanym tylko dlatego, że jest się innym.

Ulf Brauscher informował, że w dalszym ciągu nie ma żadnych śladów porywacza, a potem przeszedł do tematów politycznych. Pani Dahling głośno wysmarkała nos.

– Chciałabym mieć adres tego gościa.

– Ulfa Brauschera? – to nazwisko łatwo udało mi się zapamiętać, bo ciągle je wyświetlali u dołu obrazu. Zwykle jednak nie mam pamięci do nazwisk, które uciekają mi z głowy jak woda z dziurawego wiadra.

– Nie, tego porywacza z dyskontu – pani Dahling wsunęła sobie połówkę pomidora do ust. – Osobiście bym mu wysłała zaproszenie do porwania jednego z bachorów Kesslerów. Rodzice też by się niespecjalnie przejęli, bo wiesz, de facto to oni mają drugie o takim samym wyglądzie.

– Co to znaczy de facto?

– Faktycznie.

Problem z wyrazami obcymi polega na tym, że często znaczą coś zupełnie prostego, ale niektórzy lubią się tak skomplikowanie wyrażać.

Pani Dahling za połówką pomidora wsunęła sobie do ust ogórka i rozgryzła go z trzaskiem. Potem oblizwała palce.

– W każdym razie, moim skromnym zdaniem nic wielkiego by się nie stało – jeszcze raz mocno pociągnęła nosem. – Te rozdarte bachory to najgorsze, co kiedykolwiek mieszkało w naszej kamienicy!

– Uważam, że Fitzke jest jeszcze gorszy.

Lekceważąco machnęła ręką i sięgnęła po paluszki.

– On tylko takiego symuluje. Jeszcze kromeczkę, Rico?

SYMULOWAĆ COŚ: zrobić na niby. To prawda, że aby wyjaśnić jedno słowo, trzeba aż trzech, ale w obu przypadkach używa się tyle samo liter. Od razu więc można by powiedzieć tak, żeby każdy zrozumiał.

Złapałem jedną kanapeczkę i kawałek ogórka. Pani Dahling chrupała słone paluszki, potem raptownie sięgnęła po pilota i wyłączyła dźwięk w telewizorze. Widać było zdjęcia katedry i kilku dźwigów, ale brakowało wyjaśnienia. W pokoju zapadła cisza. Pani Dahling znieruchomiała, patrząc nieco zamglonym wzrokiem prosto przed siebie. Spoglądałem na nią kątem oka

i ostrożnie przeżuwałem kromeczkę z kawałkiem ogórka. Ile-
kroć jest jej ciężko na sercu, robi się tak jakoś strasznie.

– Co? – gniewnie zapytała po chwili pani Dahling, nawet
nie odwracając głowy w moim kierunku.

– Może by pani gdzieś wyszła – powiedziałem.

– To twój pomysł czy twojej mamy?

– Mój.

Pomysł był mamy. Jeśli się jest głęboko utalentowanym
dzieckiem, to trzeba uważać, kiedy się mówi rzeczy brzmią-
ce tak, jakby się samemu nie mogło na nie wpaść. Bo ludzie
od razu myślą, że się jest przebiegłym kłamcą, a nie jakimś
głupkiem, i zadają ćwiczenia matematyczne lub coś w tym ro-
dzaju. Ale aż tak głupi to ja nie jestem, żeby nie wiedział,
skąd się bierze ciężar na sercu. Przecież bierze się stąd, że się
jest samotnym, a innych ludzi spotyka się tylko wtedy, kiedy
się wyjdzie z domu albo się ich znajdzie w internecie. Nie
mam pojęcia, ile lat ma pani Dahling, chyba z pięćdziesiąt,
ale pewnie da się jeszcze znaleźć dla niej kogoś, kto by lubił
jej kromeczki. Tylko że w hipermarkecie, na stoisku mięsnym,
jeszcze się taki mężczyzna nie znalazł.

Wiadomości dobiegły końca i Ulf Brauscher zniknął. Pani
Dahling zdecydowanym ruchem przycisnęła guzik na pilocie.
Obraz zrobił się ciemny, a potem pojawiło się różowe logo od-
twarzacza DVD.

– Obejrzymy sobie kryminał. – Pani Dahling podniosła się
z sofy i ruszyła do półki z filmami – *Miss Marple*.

Teraz naprawdę krzyknąłem z radości.



Później, kiedy znów znalazłem się w domu i położyłem do łóżka, długo nie mogłem zasnąć. Trochę z powodu Miss Jane Marple. Zawsze kiedy oglądałem jakiś kryminał z jej udziałem, to się boję, że przydarzy jej się coś złego. Z tego przejęcia zapominam, że ostatnim razem w tym samym filmie też jej się udało przeżyć. Nie mogłem zasnąć też trochę z powodu pełni księżyca, który oświetlał ciemne, ślepe okna pustych mieszkań w oficynie. W niektórych wisiały jeszcze stare firanki. Z mojego łóżka bardzo dobrze widać zwłaszcza te na trzecim piętrze, gdzie kiedyś panna Bonhöfer popełniła samobójstwo. Panna Bonhöfer była leciwą damą. Pewnego dnia zachorowała na raka płuc, ale nie chciała iść do szpitala. Odkręciła gaz, zapaliła ostatniego papierosa i odczekała chwilę. Potem rozległ się huk!

Najpierw myślano, że oficyna niezbyt ucierpiała w wyniku tego wybuchu. W mieszkaniach, w których się wszystko roztrzaskało, wprawiono nowe okna i tak dalej, ale jak się zabrano za klatkę schodową, to się okazało, że na czwartym i piątym piętrze pojawiły się rysy na murze, których wcześniej nie było. A rudera grozi zawaleniem i dlatego wszyscy mieszkańcy musieli się wyprowadzić.

Zabito deskami okna na klatce schodowej, na drzwiach od podwórka zawisła olbrzymia, nowa kłódka, a liczni właściciele wciąż spierają się o pieniądze na remont.

To było wiele lat temu. Ale podobno od tego czasu panna Bonhöfer wciąż u siebie straszy. Tak mi powiedział Mommsen zaraz po tym, jak się tu wprowadziliśmy. Mommsen został dozorcą dokładnie wtedy, kiedy panna Bonhöfer popełniła samobójstwo, i do tej pory jest święcie przekonany, że ona ciągle szuka w swoim starym mieszkaniu popielniczki albo czegoś w tym rodzaju.

Muszę spoglądać w tamtym kierunku, czy tego chcę, czy nie. Już parę razy zamierzałem poprosić mamę, żeby zawiesiła w oknie zasłony albo rolety. Tylko że wtedy pomyślałaby, że jestem tchórzem. Czasem wydaje mi się, że we wnętrzu ciemnego mieszkania panny Bonhöfer pojawiają się jeszcze głębsze cienie i przebiegają po pustych pokojach. Wiem, że te głęboconie tylko sobie wyobrażam, ale nic mi to nie pomaga. A zwłaszcza kiedy muszę iść do ubikacji, lecz boję się wstać z łóżka. Zresztą nigdy się na to nie odważyłem, jeśli mama pracowała w nocy, a ja byłem w domu sam. Od lat już nie robię w majtki, tak jak kiedyś. Ale dobrze wiem, że jeśli dłużej niż minutę przyglądałbym się takiemu biegającemu głęboconowi, to by do tego doszło. Dlatego zwykle przed zaśnięciem naciągam sobie kołdrę na głowę.

Dziś też.

Z głową pod kołdrą myślałem o Oskarze i o tym, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. A potem zasnąłem. (...)